

W powojennym Londynie



Biurko z redakcji londyńskich „Wiadomości” i maszyna do pisania „Olimpia” Mieczysława Grydzewskiego, ze zbiorów Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu, fot. Paulina Matysiak.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Dwudziesty wiek zapamiętamy jako czas dwu wojen światowych i

wielkich wędrówek narodów i ludów. Na skutek działań wojennych i sytuacji politycznych rzesze ludzi musiały opuścić swoje domy, miasta i kraje, by osiąść czasowo czy na stałe w innych szerokościach geograficznych, często wśród obcych nacji, różniących się językiem i kulturą.

W ten sposób doszło w latach czterdziestych do powstania na ziemi brytyjskiej dużego polskiego skupiska żołnierzy i ich rodzin, zwanego później emigracją londyńską. Kiedy skończyła się wojna i nastąpiła demobilizacja, repatriacja i emigracja, w Anglii pozostała na stałe ponad stutysięczna grupa Polaków z rządem emigracyjnym, organizacjami społecznymi, prasą i wydawnictwami, szkolnictwem polskim, biblioteką i teatrem.

Rozkwitło wówczas bardzo bujnie życie kulturalne wśród tych wychodźców charakteryzujących się większym niż w normalnym społeczeństwie stężeniem ludzi wykształconych, ambitnych, ciekawych świata, pragnących nostalgię i stratę powetować zastępczymi akcjami i inicjatywami, w tworzeniu i wspominaniu, w okopaniu się w wartościach przez nieprzyjaciół zwalczanych i negowanych, a nie znanych czy obojętnych, sojusznikom.

W Londynie polskie życie kulturalne stało się bogate i kolorowe, kiedy zjechali do stolicy Polacy rozsiani po wszystkich teatrach wojny, głównie z Bliskiego Wschodu i Włoch. Zaroilo się nagle od aktorów i literatów, muzyków i malarzy. Znalazła się przychylna i

zwarta publiczność. Brylował kabaret Mariana Hemara, wystawiały teatry Leopolda Kielanowskiego i Olgi Żeromskiej. Związek Pisarzy organizował wieczory, wychodziły punktualnie „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego, katolickie „Życie”, pismo codzienne „Dziennik Polski”, działała polska sekcja BBC, Głos Ameryki i Wolna Europa. W szwach pękała Biblioteka Polska, wznowił wykłady Polski Uniwersytet na Obczyźnie, wydawnictwa wydawały oczekiwane książki. Bednarczykowie utworzyli Oficynę Poetów i Malarzy, z Paryża dochodziła „Kultura” i jej wydawnictwa. Ciekawie się żyło w mieście, gdzie ocieraliśmy się na każdym kroku o znakomitości przedwojennego życia państwowego i kulturalnego, a do którego garnęło się nowe pokolenie twórców i tysiące młodzieży.

Były to czasy pozwalające zbliżyć się do protagonistów gry, nawiązać kontakty, poznać i nauczyć się niejednego od barwnych postaci tej niezrównanej panoramy. Jako uczestnik i obserwator tego obfitego życia powojennych lat w Anglii zapisywałem swoje spostrzeżenia i komentarze mogące dorzucić kreskę do splendoru tego niezwykłego korowodu.

Wspomnienia o wybitnych postaciach powojennego Londynu można znaleźć na łamach magazynu „Culture Avenue” (przyp. red.).

Jesień



Maria Duszka

Maria Duszka

JESIEŃ

jesień tonie

w deszczu i mgle

nie opuszczasz moich myśli

łagodnie tonę w twoich oczach

w twoich dłoniach

gdy jesień tonie w deszczu i mgle

ktoś powiedział

że nie można być zrozpaczonym

gdy się patrzy w niebo

ja przez cały czas obserwuję chmury

gdy jesień tonie w deszczu i mgle

czuję się bezbronny ze swoją miłością

drzewa – to co pozostało nam z raju
przychodzi miłość i robi co chce
jak śmierć przychodzi i znika
tęsknię kiedy ty tak spokojnie
czytasz książkę na balkonie
a jesień tonie w deszczu i mgle
czuję się bezbronny
ze swoją miłością
drzewa – to co pozostało nam z raju
łagodnie tonę w twoich oczach
w twoich dłoniach
gdy jesień tonie w deszczu i mgle

Maria Duszka

KAMIENIEJĘ

nie ma już tych drzew

wokół mego domu

błądzą tylko ich niewinne dusze

coraz rzadziej płaczę

coraz rzadziej się śmieję

kamienieję

kamienieję

lubię wiedzieć zawsze

na czym stoję –

nawet jeśli to jest twarde dno

coraz rzadziej płaczę

coraz rzadziej się śmieję

kamienieję

ka-mie-nie-ję

czasami zazdroszczę psu

którego głaszciesz

marzę tylko o tym

by się przytulić

do myśli o tobie

i spokojnie śnić

coraz rzadziej płaczę

coraz rzadziej się śmieję

kamienieję

ka-mie-nie-ję

eję-słowa-Maria-Duszka-muzyka-i-wykonanie-Remi-
Juśkiewicz.mp3



Remi Juśkiewicz

Maria Duszka

JACKET

Oh baby, you logged in to my head

your gentle words follow me

our voices are kissing through the phone

I have a poem in my head

a never-ending poem about you

I've hung your jacket

in my wardrobe

all my clothes want to be

close to it

blood in my veins

like expectation

is pulsing

and flowing t'wards you

there is nothing better

than your arms

I've hung your jacket

in my wardrobe

all my clothes want to be

close to it

Maria Duszka urodziła się w Zduńskiej Woli, mieszka w Sieradzu. Jest poetką, bibliotekarką, dziennikarką, animatorką kultury, założycielką i opiekunką działającego od 2002 r. Koła Literackiego "Anima". Jej utwory zostały przełożone na język angielski, niemiecki, francuski, rosyjski, serbski, szwedzki, litewski, białoruski, węgierski, grecki, bułgarski, ukraiński i esperanto.

Opublikowała dotychczas dziewięć tomików. Ostatni z nich to wydany w 2016 r. (dodruk 2019 r.) polsko-litewski wybór wierszy „Wolność chmur / Debesų laisvė” - w przekładzie prezes Związku Pisarzy Litwy Birutė Jonuškaitė.

Wiersze publikowała m. in. w: „Toposie”, „Wyspie”, „Przekroju”, „Tyglu Kultury”, „Modern Haiku” (USA), „Reibeisen” (Austria), „Kyiv” (Ukraina), „Krantai” i „Naujoji Romuva” (Litwa) oraz w antologiach wydanych w Stanach Zjednoczonych, Serbii i

Niemczech. Jej utwory prezentowane były także w I Programie Polskiego Radia, Radiu Łódź, Radiu Alfa, Radiu Poznań, Telewizji Polonia, Radiu Wilno i I programie Telewizji Litewskiej. Od 2017 r. Maria prezentuje wiersze ulubionych poetów w cyklu zatytułowanym „Cztery ściany wiersza” w audycji Piotra Spottka „Pod wielkim dachem nieba” emitowanej we wrocławskim Radiu Muzyczna Cyganeria.

Była gościem organizowanego przez niemiecki land Schleswig – Holstein Festiwalu Kultury Polskiej „PolnischerSommer 2010”. W latach 2013- 2019 pięciokrotnie uczestniczyła w odbywającym się w Wilnie Międzynarodowym Festiwalu Poetyckim „Maj nad Wilią”, a w 2017 r. reprezentowała nasz kraj na Międzynarodowym Festiwalu „Wiosna Poezji” organizowanym przez Związek Pisarzy Litwy. W 2012 r. otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a w 2013 r. Odznakę Honorową za zasługi dla Województwa Łódzkiego. Należy do Wielkopolskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.



Maria Duszka w Łazieńcu

Remigiusz Juśkiewicz, polski muzyk, kompozytor, aranżer, multiinstrumentalista i wokalista, od 16 lat mieszkający w Londynie. Od dzieciństwa związany ze środowiskiem scenicznym i estradą. Jego pierwszym instrumentem był akordeon. Skończył studia na wydziale Songwritingu (czyli pisania piosenek) w BIMM The British and Irish Modern Music Institute w Londynie. Od września 2019 jest studentem w Kingston University w Londynie, na wydziale Produkcji Muzycznej (MMus in Production

of Popular Music Cours).

Remi jest kompozytorem wielu piosenek, które są owocem bliskiej współpracy z poetami polskiej emigracji, głównie z Wielkiej Brytanii: z Wiesławem Fałkowskim, Dorotą Górczynską - Bacik, Aleksym Wróblem, ale także z Grażyną Wojcieszko - poetką, która ponad 30 lat spędziła w Belgii i Francji oraz mieszkającymi w Polsce: Marią Duszką i Adamem Gwarą.

Poza tym jest również autorem muzyki dla teatru „Katharsis” działającego w Dunstable koło Luton w Wielkiej Brytanii.

Od zawsze zafascynowany zespołem “The Beatles”, ale również jako źródło inspiracji wymienia amerykański folk, bluegrass gospel, country, a obok wielkiego Boba Dylana pojawia się, równie wielki Czesław Niemen, którego białoruskie i rosyjskie pieśni ludowe śpiewane z akompaniamentem gitary, utkwiły mu w świadomości i kształtowały jego estetykę muzyczną.



Remi Juśkiewicz

Damian Nenow: Dziewięć lat z życia.

Na festiwalu w Cannes 2018 owacja na stojąco, w *The Hollywood Reporter* zachwyty, że to „oszałamiające dzieło o rzadko spotykanej bezpośredniości i sile”. Na podstawie książki Ryszarda Kapuścińskiego „Jeszcze dzień życia”, Polak - Damian Nenow i Hiszpan - Raúl de la Fuente stworzyli animację komputerową w technologii 3D. Pomysł wydawał się karkołomny: w jednym filmie połączyć animację z dokumentem i wystylizować go na komiks.



Damian Nenow, fot. materiały prasowe.

Mariola Wiktor: Pracując nad filmem o wojnie domowej w Angoli według książki Ryszarda Kapuścińskiego, zmierzył się pan z jego legendą. Dokonał pan jakichś odkryć?

Damian Nenow: W czasie researchu dokopaliśmy się do tego, jaka była formuła pisania Kapuścińskiego, co było esencją – skupienie się nie na wielkich wydarzeniach, ale na pojedynczym człowieku w nich uczestniczącym. I to wydało nam się dzisiaj bardzo aktualne. Mój stosunek do Kapuścińskiego, wcześniej neutralny, zmienił się w podziw i dumę z tego, że jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku to Polak. Oczywiście już wcześniej w szkole dowiedziałem się o nim, o jego podróżach i książkach, ale wtedy jeszcze ich przekaz nie całkiem do mnie docierał. Choć pamiętam, że gdy przeczytałem *Jeszcze dzień*

życia, to utkwily mi w pamięci obrazy. Na przykład ten z opisem Luandy, stolicy Angoli, jako drewnianego miasta zalewającego ulice...

Dopowiem, że w tak plastyczny sposób Kapuściński opisał uciekających z Luandy Portugalczyków, którzy cały swój dobytek pakowali w wielkie drewniane skrzynie. A powodem ich ewakuacji było odzyskanie niepodległości przez Angolę w 1975 roku, która aż do tego czasu pozostawała kolonią portugalską.

Tak, Kapuściński opisuje czas niepokoju i krwawej wojny domowej tuż przed uzyskaniem niepodległości. Mam taką „przypadłość”, że z książek, filmów, wydarzeń życiowych wyłapuję tematy, sytuacje, które mnie twórczo stymulują. Z książki Ryszarda Kapuścińskiego zapamiętałem sceny, liryczne opisy, drewniane miasto. Później dostrzegłem potencjał, który uwielbiam w animacji, surrealistyczne deformacje świata i gry z rzeczywistością.

Skąd u pana zainteresowanie animacją? Powie pan, że od przedszkola?

(śmiech) Tak było. Rysowałem, malowałem, potem chodziłem do liceum plastycznego w Bydgoszczy, moim rodzinnym mieście. Jako młody chłopak byłem zainteresowany grafiką, ale nie

miałem w domu komputera, bo nie było nas na niego stać. Dość wcześnie odkryłem animację komputerową, a potem zobaczyłem *Katedrę* Tomasza Bagińskiego. Wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem, że film, który ma szansę na Oscara, może powstać w domu i można go zrobić samemu. Dotarło do mnie, że właściwie wszystko, co potrzebne, by to osiągnąć, jest w naszej głowie. Poszedłem do Szkoły Filmowej w Łodzi, robiłem tam wiele etiud. Ale w owym czasie w Filmówce nie było odpowiedniej specjalizacji. Szkoła była kuźnią reżyserów, a nie realizatorów animacji. Zdobyłem jednak podstawy i wiedzę o filmie, a grafiki komputerowej nauczyłem się sam.

Pana wcześniejszy film krótkometrażowy *Ścieżki nienawiści*, o walce na śmierć i życie pilotów dwóch myśliwców, był blisko Oscara i zdobył wiele festiwalowych nagród na całym świecie. Co to daje?

Taka festiwalowa podróż filmu sprawia, że jego twórca staje się rozpoznawalny. Nigdy się nie spodziewałem, że tak wielu ludzi obejrzy *Ścieżki nienawiści*. Dużo projektów spływa do mnie właśnie dlatego, że zrobiłem ten animowany short. Dzięki temu obiegowi również Raúl zobaczył teaser mojego filmu.

Raúl de la Fuente jest współreżyserem *Jeszcze jeden dzień życia*. To on wpadł na pomysł adaptacji książki. W jakich okolicznościach się poznaliście?

Raúl znał książki Kapuścińskiego, był nimi zafascynowany. W czasie swojej podróży po Afryce odwiedzał miejsca opisane w *Jeszcze dzień życia*. Być może już wtedy dojrzywał w nim pomysł nakręcenia filmu dokumentalnego. Zobaczył jednak zwiastun *Ścieżek nienawiści* i spodobał mu się sposób, w jaki zrealizowałem ten film, wówczas pionierski: stylizowany, a jednocześnie poważny, nie kreskówkowy, z dużym potencjałem na połączenie z dokumentem. Spotkaliśmy się w studiu Platige Image i tak się zaczęło. Początkowo marzył nam się pełnometrażowy fabularny film wojenny, ale jednocześnie w tył głowy uparcie pukała myśl, że to niemożliwe, że tego nie da się sfinansować. Cały projekt zajął nam wiele lat. To największa koprodukcja europejska, jeśli chodzi o film animowany. Wspaniałe było to, że każdy z naszych pięciu koproducentów znał Kapuścińskiego.

Czy takie dziennikarstwo, jakie uprawiał Ryszard Kapuściński, współcześnie, w dobie mediów elektronicznych, ma jeszcze sens?

Absolutnie tak! Myślę, że dziś brakuje nam jego podejścia, czujemy się przez niego osieroceni. Ale to też kwestia tego, jak działa ludzki umysł, do jakiego stopnia nie ogarnia tego morza zalewających nas informacji. Gdy dociera do nas krzyk tłumów, bardzo trudno usłyszeć i zrozumieć pojedynczego człowieka, ujrzyć całokształt przez pryzmat jednostki. Taki zaś był klucz

Kapuścińskiego do poznania świata. Nie przypadkiem mówił o sobie „tłumacz kultur”. Wydarzenia w Angoli w 1975 roku go zmieniły, sprawiły, że porzucił dziennikarstwo na rzecz literatury.



Kadr z filmu „Jeszcze dzień życia”, fot. materiały prasowe.

W Angoli przestały mu już wystarczać PAP-owskie suche depesze.

To moment zwrotny, w którym reporter przekształca się w powieściopisarza. I ta zmiana nas zainteresowała, zmobilizowała do zrobienia filmu. Kapuściński napisał kiedyś, że pojedynczy człowiek jest całym wszechświatem, który można w kółko odkrywać, który ma nieskończoną ilość sposobów ekspresji. Tłum

natomiast jest ograniczony do krzyku, do protestu, do barykady. Dlatego o człowieku można napisać powieść, a o tłumie nigdy.

Trzeba powiedzieć, że w 1975 roku zawód reportera wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Tak, choćby dlatego, że nie było internetu. Świat był też bardziej czarno-biały. Kiedy miało się paszport kraju socjalistycznego, nie można było pozwolić sobie na obiektywizm i wielowymiarowość, a mnóstwo miejsc pozostawało kompletnie niedostępnych. Kapuściński przekraczał zaś wszystkie bariery i ograniczenia. Poza ciekawością motywowały go jeszcze inne czynniki. Dzięki podróżom mierzył się ze swoimi demonami, z własnym, nie tylko Conradowskim, „jądrem ciemności”, obrazkami, jakie sam jako dziecko zapamiętał z wojny. Był od niej na swój sposób uzależniony. Jeśli gdzieś na świecie pojawiał się konflikt zbrojny, Kapuściński musiał tam być.

Nie miał pan poczucia, że adaptując literaturę faktu środkami animacji, porywa się pan na coś szalonego?

Wręcz przeciwnie. Sama formuła pisania Kapuścińskiego zmobilizowała nas do hybrydowego formatu. Kapuściński łączy poezję, magiczny realizm z faktami. Wchodzi do głowy pojedynczego człowieka i przez pryzmat jego emocji opisuje sytuację w kraju, a nawet los całego kontynentu. My, tak jak on,

zderzamy fakty z kreacją. Animacja może być zarówno realistyczna, jak i fantastyczna, surrealistyczna. W moim odczuciu animacja to poezja, która uchwyci to, czego nie zobaczy kamera, a co jest na przykład w naszych myślach, fantazjach, lękach.

To, o czym pan mówi, wpisuje się w pojęcie *confusão*, które jest kluczem do zrozumienia książki Kapuścińskiego. Wytłumaczmy, o co chodzi.

Chodzi o świat, o rzeczywistość, która wymyka się spod kontroli, w której nie ma reguł, granice są płynne, znikają ludzie, przedmioty, a wszędzie czają się śmierć i obezwładniający chaos. Takie sytuacje towarzyszą dziś wojnom w Syrii, na Bliskim Wschodzie, na Ukrainie. *Confusão* rodzi się w głowach ludzi, po czym ogarnia cały naród, kontynent. Szybko się okazuje, że od samego bałaganu gorszy jest nadmiar pomysłów na sprzątanie. Każdy ruch pogrąża. *Confusão* nie da się zwalczyć, ono zawsze wróci. Aby przetrwać, trzeba się skupić, czasem na pojedynczym człowieku. Poznać, zrozumieć, zaufać i, jak w soczewce, odnaleźć sens.

W potocznym wyobrażeniu animacja kojarzy się z fikcją, ale przez zderzenie z dokumentem ta animacja się uprawdopodobnia, staje się rzeczywistością.

Ja to tak odbieram. Chcielibyśmy, by animacja była jeszcze bardziej surrealistyczna przez swoją formę, żeby nie siliła się na udawanie narracji prawdziwej. Od tego była część aktorska, z autentycznymi ludźmi, z faktami. Paradoksalnie, im bardziej warstwa animowana różniła się od dokumentalnej, tym lepiej się uzupełniały. Okazało się, że zderzenie tak różnych światów tworzy opowieść stymulującą wyobraźnię i emocje. Wyobraziłem sobie sklejkę montażową sytuującą się gdzieś między oniryczną rzeczywistością, scenami realistycznymi i prawdziwym człowiekiem, który tam stoi i tam był. Siłą takiego obrazka jest właśnie hybrydowość, połączenie animacji i dokumentu.

**A dlaczego zdecydował się pan na komiksową stylizację?
Chodziło o to, by dotrzeć do młodych ludzi?**

Owszem, chcieliśmy, by film znalazł widownię wśród młodzieży, która fascynuje się kulturą komiksową. Ale kolejna ważna sprawa to specyfika samej animacji i stylu, który wypracowałem jeszcze przy *Ścieżkach nienawiści*. Jego wyjątkowość polega na tym, że nie jest to tradycyjna kreskówka. Inny jest sposób kadrowania, montażu, praca kamery. To animacja bardzo realistyczna, przekonująca. Autentyczna jest anatomia postaci, nie ma tutaj przesadzonych ekspresji. Ten styl animacji jest przystępny dla dorosłego widza, który od poważnego kina wojennego oczekuje raczej poważnych kreacji aktorskich niż infantylnych kreskówek. Aspekt stylizacji zauważył Raúl przy

moich *Ścieżkach nienawiści*. Film animowany to dla większości widzów głównie kreskówka, czyli Pixar albo Disney... Idzie się na to z dziećmi i zawsze jest wesoło. A u nas nie ma takich radosnych nastrojów, bo zderzamy się z bardzo poważnymi tematami wojennymi. *Jeszcze dzień życia* opowiada o prawdziwych zdarzeniach, autentycznych ludziach.



Kadr z filmu „Jeszcze dzień życia”, fot. materiały prasowe.

***Walc z Baszirem* Ariego Folmana był dla pana i Raúla inspiracją? Myślę choćby o scenie śmierci Carlotty...**

Tak, ale nie do końca. To nigdy nie była bezpośrednia inspiracja. W *Walcu z Baszirem* pokochałem wszystkie sceny surrealistyczne i głównie je zapamiętałem. Tak samo było z książką *Jeszcze dzień*

życia. I z *Niekończącą się opowieścią*, moim ulubionym filmem z dzieciństwa. Kiedy pisałem w scenariuszu scenę śmierci Carlotty, to nie miałem przed oczyma *Walca z Baszirem*, choć oczywiście są podobieństwa.

Jak się podzieliliście pracą z Raúlem de la Fuente? On był od dokumentu, pan od animacji?

Ten podział wydaje się oczywisty, bo takie mamy korzenie. I w realizacji tak właśnie było. Ale najtrudniejszą częścią pracy okazało się tworzenie całej historii, jej wymyślanie, pisanie. To zabrało nam ponad pięć lat i tutaj dzieliliśmy się pracą po równo. Sesje scenariuszowe odbywały się w Bilbao, w Pampelunie albo pod Warszawą. Potem były dokumentacje w Angoli. Bardzo ważne, bo dzięki zdjęciom i przeprowadzonym tam rozmowom z autentycznymi bohaterami wojny wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać i na czym się oprzeć. W projekt zaangażowanych było około 200 osób, a łącznie z zapleczem logistycznym niemal 500.

Gigantyczne przedsięwzięcie! Czy biorąc pod uwagę tak ogromny wysiłek, sądzi pan, że filmy hybrydowe mają przyszłość?

W takim portretowaniu rzeczywistości tkwi ogromny potencjał. Nie tylko artystyczny, ale i komercyjny. Nasz złożony świat aż

kipi od różnych spojrzeń, perspektyw, więc takie łączenie rozmaitych technik i konwencji ma głęboki sens.

Trzy pana filmy - *Ścieżki nienawiści*, *Miasto ruin* i *Jeszcze dzień życia* - poruszają temat wojny. To pana obsesja? Czy może po prostu wojna dobrze się „sprzedaje” i ciekawie wygląda w animacji?

Wojna mnie fascynuje, bo pokazuje inną podszewkę świata, demony i obsesje ludzkie, daje inny wymiar postrzegania rzeczywistości. To życie w sytuacjach ekstremalnych, pod wpływem których wychodzą z nas emocje, o jakie się nie posądzałyśmy, mroczności, bestie, potwory. Element *confusão*, o który pani pytała, to część historii pokazanej w naszym filmie. Stan chaosu, ale i brak zrozumienia, a z tego przecież rodzi się nienawiść, zniszczenie. Źródłem jest strach i niewiedza.

(...)

Zwiastun:

<https://www.youtube.com/watch?v=hqQKcs2CVDQ>

Wywiad ukazał się na stronie Harpers Bazaar w 2018 r.

<https://www.harpersbazaar.pl/>

Francja 1994, 1995, 1999 i 2009. Część II.



Wnętrze Panteonu w Paryżu.

Zygmunt Wojski (*Wrocław*)

W okresie Wielkanocy w roku 1995 pojechałem do mojej przyjaciółki Jeannine do Cuers koło **Tulonu** i stamtąd urządziłem sobie trzy wycieczki: do **Opactwa Le Thoronet**, do **Aix-en-Provence** i na **Korsykę**. Pamiętam doskonale Opactwo Le Thoronet, górę Świętej Wiktorii i fontanny Aix-en-Provence,

Corte, Bonifacio, Bastię i Calvi na Korsyce. Niestety, pogoda na tej „Pięknej Wyspie”, jak ją nazywają Francuzi, spłatała mi figła: było dość zimno. Przeziębilem się i straciłem sporo czasu leżąc w łóżku w towarzystwie stadka kotów u mojej pięknej gospodyni o nazwisku Colonna, bardzo popularnym na Korsyce.

Dwukrotnie, w 1994 i 1999, byłem zaproszony na wykłady na Uniwersytecie w stolicy Owernii, **Clermont-Ferrand**, dużym mieście w obszernej dolinie u stóp wulkanu Puy-de-Dôme (1654 m wysokości). Nad miastem góruje czarna sylwetka Katedry Matki Boskiej Wniebowzięcia, z XIII w., z dwiema strzelistymi wieżami i jedną niższą. Katedra jest w stylu gotyku północnego. Wewnątrz, w pasażu południowym, zachowane freski, a w jednej z kaplic także okno z kamiennymi muszarabiami.



Pomnik Wercyngetoryksa w Clermont-Ferrand (Owernia).

W mieście, na placu Jaude, monumentalny pomnik na koniu, z uniesioną szpadą, urodzonego właśnie w Owernii galijskiego wodza, Wercyngetoryksa, który walczył z wojskiem Juliusza Cezara. Klasyczną budowlą romańską jest bazylika Matki Boskiej z Portu (*Notre-Dame du-Port*), z XII-XIII w., harmonijna, proporcjonalna, z prezbiterium ozdobionym na zewnątrz delikatną mozaiką. Zbudowana jest z jasnej arkozy. Rzeźby na kapitelach kolumn przedstawiają sceny biblijne lub pochodzące z *Psychomachii* Prudencjusza.

Któregoś dnia w czasie pobytu w 1994 roku moja koleżanka romanistka z Wrocławia Hanka Karaszewska (była wówczas lektorką języka polskiego na tamtejszym Uniwersytecie) i ja zostaliśmy zaproszeni na całodniową wycieczkę szlakiem kościołów romańskich przez panią prof. Evelyne Hernández. Ruszyliśmy z **Clermont-Ferrand** na południe, w kierunku **Orcival**, gdzie w dolinie kościół Matki Boskiej z XII w. Charakterystyczne są cztery absydy: jedna wyższa i trzy jednakowej wysokości. Wewnątrz, romańska polichromowana statuetka Matki Boskiej z Dzieciątkiem, podobno wyrzeźbiona przez Świętego Łukasza. Matka Boska ma nieproporcjonalnie duże dłonie, a Dzieciątko twarz wyrośniętego młodzieńca.



Bazylika Matki Boskiej w Orcivalu.

Obiad jedliśmy w restauracji z widokiem na zamrożone jezioro wśród gór. Czy to było jezioro Chambon, Aydat czy des Servières, w tej chwili trudno mi odpowiedzieć, ale prawdopodobnie des Servières. W każdym razie potem zwiedziliśmy romański kościół Św. Nektara (*église de Saint-Nectaire*) też z XII w. Stoi w dolinie, u stóp zalesionych wzgórz. Przepięknych głowic jest tam sto trzy i wszystkie przedstawiają jakieś sceny: walkę aniołów z demonami, kuszenie Chrystusa, grę osła na lirze, ujeżdżanie kozła przez człowieka... I tu polichromowana romańska figurka Matki Boskiej z

Dzieciątkiem. Przedstawiona jest na tronie i uosabia Tron Wiecznej Mądrości (*Sedes Sapientiae*).

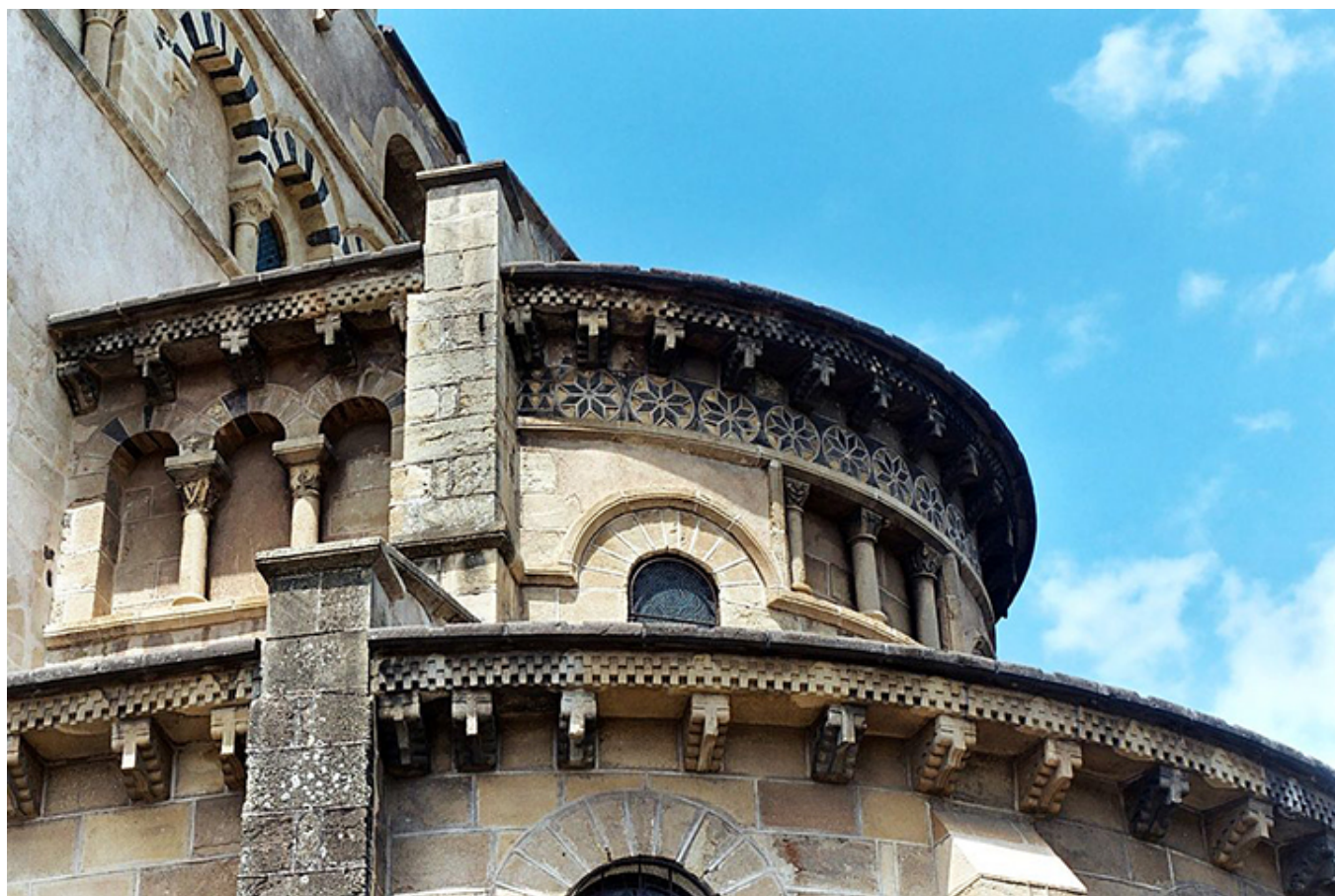
Na koniec romański kościół Świętego Saturnina w miejscowości o tej samej nazwie, z XII w. Zbudowany z miejscowej jasnej arkozy i lawy robi wrażenie polichromowanego. Kapitele kolumn wyrzeźbione w lawie. Obok kościoła w **Orcival** jest jedynym w Owernii kościołem, który uszedł cało podczas Rewolucji Francuskiej i zachował oryginalną ośmiokątną dzwonnice. Uchodzi za przykład prostoty architektonicznej. Byłem też wtedy w **Vichy**, znanym kurorcie na północ od **Clermont-Ferrand**. W parku jest elegancki Pałac pod Kopułami i niski, parterowy Pałac Kongresów.



Dom Zdrojowy w Vichy. Owernia.

W **Paryżu** zamieszkałem w hotelu PAN-u na ulicy Lauriston, niedaleko Placu Gwiazdy. Zwiedziłem wówczas bardzo dokładnie Muzeum D'Orsay z ogromną ilością obrazów impresjonistów. Monet, Manet, Cézanne, Renoir, Degas, Courbet, Gauguin... Wspaniała kolekcja! Oprócz tego, Panteon w Dzielnicy Łacińskiej. Ta wizyta miała na celu głównie obejrzenie grobowca jedynej kobiety tam pochowanej, czyli Marii Skłodowskiej-Curie. Aliści zarówno jej prochy, jak i jej męża, Piotra Curie, sprowadzono do Panteonu dopiero ponad rok później, 20 kwietnia 1995 roku. Obejrzałem wtedy grobowce takich francuskich osobistości jak Wolter, Rousseau, André Malraux, Victor Hugo, Alexandre Dumas, Émile Zola, Jean Jaurès. Pod

kopułą Panteonu, wśród kolumn ją otaczających, punkt widokowy na Paryż, skąd doskonale widoczne główne budowle miasta.



Kościół Matki Boskiej w Saint-Saturnin. Owernia.



Notre-Dame de Saint-Saturnin. Owerria.

W 1999 roku w czasie pobytu w **Clermont-Ferrand** pojechałem pociągiem do Issoire w towarzystwie młodej Kubanki. Jest tam dość przysadzisty romański kościół Świętego Stremoniusza (*Saint-Austremoine*), z XII w. Wewnątrz pomalowany w 1859 roku na jaskrawy czerwony kolor. Kapitele w większości nawiązują do Pasji Chrystusa, ale są też sceny mityczne, pasterskie. Pod chórem wspaniała krypta. Witraże ukazują sceny z życia Świętego Stremoniusza.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Paryżu u mojego kolegi z warszawskiej romanistyki, Kazia Piekarca w dzielnicy Issy-les-Moulineaux. Było mi tam bardzo dobrze. Gospodarze – Kazio i Jego żona Anula – okazali się wyjątkowo gościnni. Zwiedziłem wówczas w Grand Palais wystawę poświęconą przyjaźni van Gogha z doktorem Gachet, portrety tego doktora i inne dzieła impresjonistów. Po raz pierwszy obejrzałem dokładnie dom Victora Hugo na Placu Wogezów, pamiątki po nim, liczne wydania jego dzieł. Była to niesłychanie ciekawa wizyta. Na wyspie Świętego Ludwika spotkałem się z kolegą ze studiów w Warszawie, Krzysztofem Jeżewskim, który oprowadził mnie po muzeum Mickiewicza i Chopina w Bibliotece Polskiej. Tyle razy byłem przedtem w Paryżu i nigdy nie widziałem tych zbiorów. Poznałem wówczas uroczy zakątek Wyspy Świętego Ludwika: Skwer rzeźbiarza Barye' ego, na wschodnim jej krańcu.



Dom Wiktora Hugo na Placu Wogezów w Paryżu.

Odwiedziłem także Instytut Świata Arabskiego (*Institut du Monde Arabe*), przy Placu Mohammeda V. Powstał w 1987 roku. W muzeum zgromadzono ogromną ilość rekwizytów charakterystycznych dla krajów arabskich, także zabytki (mozaiki tunezyjskie, stroje, naczynia, kafelki). W ciągu kilku dni zobaczyłem sporo ciekawych rzeczy.

Ostatnią podróż do Francji odbyłem we wrześniu 2009 roku. Była

to wycieczka po najbardziej malowniczych, często mało znanych, miasteczkach francuskich. Trasa wiodła wielkim łukiem od południowego wschodu Francji przez Prowansję, Oksytanię, Nową Akwitanie, Doline Loary, Normandię, Paryż, Szampanię, do Alzacji. Spróbuję wymienić tylko te miasteczka, które zrobiły na mnie największe wrażenie, a więc najpiękniejsze okazały się dwa: **Moustiers Sainte-Marie** w Prowansji i **Saint-Circ-Lapopie** w Oksytanii, oba położone w bardzo malowniczej okolicy. Pierwsze u stóp gigantycznych skał, a drugie na zboczu skalistego kanionu rzeki Lot.



Paul Cézanne – Góra Sainte-Victoire z wielką sosną.

30 km na zachód od **Saint-Circ-Lapopie** leży miasto **Cahors** z niezwykłym mostem obronnym zwanym Valentré z XIV wieku. Na moście na rzece Lot wznoszą się trzy potężne wysokie wieże obronne. Gdy chodzi o mury obronne, największe wrażenie robi najstarszy francuski port śródziemnomorski **Aigues-Mortes**, co znaczy po polsku Martwe Wody. Miasteczko położone jest na mokradłach delty Rodanu i otaczają je ze wszystkich stron doskonale zachowane mury obronne. Góruje nad nimi Wieża Konstancji. To stąd król Francji Ludwik IX zwany Świętym wypływał w XIII wieku na siódmą i ósmą wyprawę krzyżową.

Na wzmiankę zasługuje zwiedzanie w Oksytanii jaskini Pech Merle, pokrytej ciekawymi malowidłami koni, bizonów i mamutów. Także formacje skalne i kolorystyka skał są bardzo ciekawe. Wystąpiłem w tej jaskini jako tłumacz, ale postanowiłem przy tym dać popis moich zdolności aktorskich, zarówno gdy chodzi o modulację głosu, jak i żywą gestykulację. Udało mi się to w stu procentach. Grupa nie ukrywała swego zadowolenia, słysząc było głośnie śmiechy, a jedna z pań z grupy francuskiej była tak wzruszona tym widowiskiem, że na koniec dziękowała mi wylewnie za ten popis aktorski. Grupa była tak zadowolona, że wymogła na pilocie, aby zaprosił mnie tego dnia na kolację złożoną z osławionej kaczki zakonserwowanej we własnym tłuszczu, z kartoflami po sarlacku: *confit de canard aux pommes de terre sarladaises !!!*



Matka Boska z Saint-Saturnin. Owernia.

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest.

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Bazylika Matki Boskiej z Portu w Clermont Ferrand (Owernia).



Cytadela w Bastii na Korsyce.



Cytadela w Calvi na Korsyce.



Góra Sainte-Victoire (Święta Wiktoria) malowana wielokrotnie przez Cézanne'a.



Pałac w Aix-en-Provence.



Port i Stare Miasto w Bonifacio na Korsyce.



Wirydarz Klasztoru św. Zbawiciela w Aix-en-Provence.

Ewy Dorynek-Scheer

„Obrazy Takie w Klimacie”



Ewa Dorynek-Scheer, Nocne niebo twojego dzieciństwa.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Ewa wyjechała z Polski do Kanady z mężem Andrzejem Maciejewskim, znanym dziś w Kanadzie fotografikiem, w 1985

roku. W Polsce studiowała psychologię i filozofię. Podczas studiów, na letnim plenerze fotograficznym po raz pierwszy eksperymentowała z *ice paintings*, malując na lodzie i fotografując efekt przenikania się lodu i farb. Małżeństwo nie wytrzymało trudów emigracji. Już w drugim związku, Ewa Scheer powróciła do przerwanych pasji artystycznych. W latach 1987-1992 studiowała *fashion design* na Ryerson Polytechnical Institute uzyskując licencjat ze sztuki użytkowej oraz na University of Regina w Saskatchewan, w 1991 roku, zdobywając Master of Fine Arts. Z upływem lat artystka rozwijała technikę *ice paintings* świadomie zmierzając w stronę malarstwa ekologicznego. Prace jej są barwnym, niepowtarzalnym dziełem malarskim stworzonym jednocześnie przez artystkę i naturę. W 2016 roku dużym powodzeniem cieszyła się wystawa Ewy Scheer w Kingston/Ontario, w Gallery Studio 22 - *ice paintings* powiększone do dużych skali prezentowały się imponująco. Idąc dalej w stronę ścisłej współpracy z naturą, artystka przygotowała serię wykładów poglądowych dotyczących relacji między sztuką, człowiekiem, środowiskiem i przemysłem, które od 2016 roku wygłasza gościnnie. Ewa jest laureatką konkursu „Saving Face” w Living Arts Centre/Mississauga 2011; jest finalistką konkursu Kingston Prize - Canada National Portrait Competition 2011 i 2019; Spirit of the Land w 2011 roku i Space w 2012 roku w MVS Gallery/Brockville, Kanada. W 2016 roku artystka była na rezydencji w L’Atelier sur Seine w Hericy we Francji.



Artystka na tle swoich prac.

Jak wielu artystów polskich tworzących poza granicami, Ewa Dorynek-Scheer chciała zaprezentować swój dorobek w kraju rodzinnym, gdyż konfrontacja z rodzimym środowiskiem artystycznym daje artyście szczególną satysfakcję i dodatkowe bodźce, których często brak w kraju osiedlenia. Wystawa „Obrazy Takie w Klimacie” zorganizowana została w domu kultury PROM w dzielnicy Saska Kępa w Warszawie. Artystka zaprezentowała serię miniaturowych, abstrakcyjnych obrazów

malowanych barwnikami spożywczymi i nietoksycznymi środkami koloryzującymi na płytach lodu. W trakcie tworzenia czas trwania tych miniaturowych obrazów zależy wyłącznie od warunków pogodowych – temperatury, wilgotności, siły wiatru. Temperatura otoczenia i właściwości lodu są ważnym czynnikiem procesu twórczego – stąd artystka nazywa swoje prace „klimatycznymi meteografami”. Ostatnim etapem tworzenia jest Diassec- proces technologiczny, w którym zespala się fotografie ze szkłem akrylowym imitującym grube tafle lodu.



Ewa Dorynek-Scheer, Rembrandt Nebula.

Meteografy Ewy Dorynek-Scheer dotyczą momentu, przypadku i zaskoczenia, jakie sprawia artystce natura. Efekty zaskakują pomysłowością. Niektóre przypominają przestrzeń kosmiczną, inne są jak światy podwodne lub wnętrza organizmu. Jest to niekończąca się inwencja form i kształtów. Jednak drugą stroną tego ekologicznego procesu twórczego jest świadomość, że chociaż używane materiały są nietoksyczne, to malowanie na lodzie jest wprowadzeniem do lasu ingerencji człowieka i

uprzemysłowionej kultury ludzkiej. Obrazy „narzucają się” naturze, podobnie jak ludzka cywilizacja „narzuca się” niszcząc środowisko naturalne. Czy istnieje wobec tego relacja idealna, nieinwazyjna, między twórcą i naturą? Jest to pytanie pojawiające się w trakcie oglądania wystawy. Paradoks – nawet współpracując tak blisko z naturą, artysta przekształca środowisko i ingeruje w nią. Obrazy lodowe mówią o naturze, ale proces produkcji wykorzystujący metal, plastik, lakiery – naturę niszczy. Kolejny paradoks, który uświadamia nam jak groźne procesy destrukcyjne wyzwolone zostały przez naszą cywilizację. Czy sama świadomość tego faktu ocali nas przed ekologiczną zagładą? Przyszłość przyniesie odpowiedź na pytanie. W przestronnej sali wystawowej domu kultury, na białych ścianach, jak na śniegu, prace prezentowały się ciekawie, a tajemniczy świat lodu i kolorów – będący owocną współpracą artystki i natury, zachwycał nieskończoną wielością form.



Ewa Dorynek-Scheer, Głową w dół; Organ współczucia.

Nieprawdopodobne



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniątkowskich, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

ŻONA

Poślubiłem najwłaściwszą osobę,

wielki ze mnie szczęściarz, że mnie zechciała.

W szczytowym osiągnięciu mego życia

okazała się wspaniałą partnerką
i czułą matką czworga zdrowych dzieci.
Dożyłem kopy lat pod jej urokiem
więc się Budrysom wcale nie dziwuję.

ZAJĘCIA

Żona należała do wędrowniczek
i to harcerstwo już w niej pozostało.
Ćwiczy na sali trzy razy w tygodniu
i często chodzi na długie wędrówki.
Ja wtedy pozostając w domu, piszę,
na wiersze mienię kinetyczne ruchy.
Nasza współpraca ma cechy wzorowej.

Nie zawadzamy sobie w dyscyplinach:

Stale z małżonką chodzę na spacer,

ona niekiedy czyta to, co piszę.

POCHWAŁA LODÓWKI

Żona wyjeżdża na wczasy więc muszę

zaprzyjaźnić się intymniej z lodówką.

Ona mi będzie żywicielką, moją

spolegliwą chlebowawczynią, zawsze

gotową karmić głodomora z głębi

swych zimnych półek, z hojnego spichlerza

życiodajnych fruktów, bochnów i serów

nabiału, wędlin, warzyw mrożonych.

Z doświadczenia chwałę dobroć lodówki,
istnej przechowalni cierpliwych mężów.

NIEPRAWDOPODOBNE

Te wręcz nieprawdopodobne sześćdziesiąt lat
wspólnie przeżytych wymagało szczęścia
i roztropnej tolerancji obu stron
przebaczenia i akceptacji błędów
wrozumiałości opartej mocno
na przyjętych zasadach pojmowanych
jako trwałe fundamenty pożycia
godnego i błogosławionego.

Kopa lat to nagroda za współbrzmienie

w społeczeństwie pogrążonym w rozdźwięku.

NIEZAWODNA

Dotąd to było „do widzenia, serwus

do następnego razu, see you later”.

Teraz już „żegnaj” kojarzy się smutniej.

Nie będzie już powtórek i nawrotów.

Pewne transakcje kończą się na amen

staje u kresu, co było pisane.

Już nie pomogą tu manipulacje:

siła wyższa poradzi sobie z knuciem

nawet w najlepszej intencji. Stanie się

to co stosowne i co oczywiste.

Bo śmierć jak dotąd bywa niezawodna.



Heroizm życiowych

wyborów.

Wspomnienie o Nelli
Turzańskiej-
Szymborskiej.



Założyciele Fundacji: Władysław Grzymała-Turzański i Nelli Turzańska.

Edward Zyman (Toronto)

W niedzielę wielkanocną 8 kwietnia 2012 w Toronto Western Hospital zmarła Nelli Turzańska-Szymborska, twórczyni jednej z najważniejszych instytucji wspierających kulturę polską na obczyźnie - Fundacji Turzańskich. Była wśród Polonii kanadyjskiej postacią wyjątkową. Kimś, kto swoim codziennym, zwróconym ku innym działaniem, pisał historię polskiej diaspory, nie tylko na północnoamerykańskim kontynencie. Gdy zamknął się ostatni rozdział Jej doczesnej, pełnej tragicznych doświadczeń i imponujących dokonań egzystencji, dojrzelśmy wyraźnie, że

osiągnęła w życiu wszystko to, co prawy, wierny swoim przekonaniom, otwarty na sprawy wspólnoty człowiek, osiągnąć może. Od wczesnej młodości po wiek dojrzały potwierdzała swoją wielkość ducha, przywiązanie do wartości podstawowych, szlachetność i odwagę. Takie imponderabilia jak patriotyzm, wolność, niepodległość, uczciwość, bezinteresowna praca dla innych były dla niej obowiązującym imperatywem moralnym. Gdy w ich obronie trzeba było ryzykować najwyższą ceną, czyniła to bez wahania – w czasie wojny i okupacji, podczas powstania warszawskiego, a także w okresie ponurej rzeczywistości Polski komunistycznej lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Narracja wspomnieniowa narzuca pewne utrwalone konwencje. W tym przypadku rodzi to istotny problem, bowiem życie pani Nelli Turzańskiej, z domu Barańskiej, było w swej wyjątkowej dramaturgii zaprzeczeniem wszelkich konwencji. Urodziła się w dniu 23 marca 1917 roku w Kursku, dokąd został oddelegowany jej pracujący w kolejnictwie ojciec. Fakt, że po rewolucji bolszewickiej jej rodzinie udało się bezpiecznie przedostać do Polski, był cudownym zrzędzeniem losu. Po latach w jednym z wywiadów stwierdziła:

Byłam tak wymizеровanym niemowlęciem, że nie rokowano mi szans na przeżycie (...). Gdy jednak wreszcie znaleźliśmy

się na polskiej ziemi, nieoczekiwanie wydobrzałam, wzmocniłam się, i wyrosłam.

Dzieciństwo wraz z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa spędziła w Błoniu pod Warszawą, gdzie ukończyła szkołę podstawową. Był to najszczęśliwszy okres w jej życiu. Jako dziecko uwielbiała zabawy w ogrodzie i czytanie książek. Jej ukochanymi lekturami były *Ania z Zielonego Wzgórza* oraz *W pustyni i w puszczy*. Nie przypuszczała, że kiedyś przyjdzie jej mieszkać w ojczyźnie Ani Shirley, a od bohaterki powieści Sienkiewicza przejmie imię, którym zastąpi metrykalną Franciszkę, pierwotnie na czas bierzmowania, a później – na całe życie.

Wzrastała w atmosferze romantycznego patriotyzmu. Jak wielu przedstawicieli pokolenia niepodległej Polski, miała silnie rozwinięte poczucie obywatelskiej odpowiedzialności. Od dwunastego roku życia należała do harcerstwa. Kiedy była uczennicą gimnazjum, ukończyła – jako jedyna dziewczyna w stuosobowej grupie – kurs spadochronowy. W listopadzie 1939 roku, zaprzysiężona jako „Viola”, została członkinią Związku Walki Zbrojnej. Przeszła kurs przysposobienia, po którym zajmowała się kolportażem prasy podziemnej, roznosiła rozkazy, a nierzadko także broń. W okresie tym pracowała na wydziale radiologii Szpitala Ujazdowskiego, zajmując się rannymi oficerami polskimi. Wynajdywała tysiące sposobów, by odwlec

moment ich deportacji do obozów jenieckich. Podczas powstania warszawskiego przybrała pseudonim „Prawdzic” i została łączniczką w batalionie Wojskowej Straży Ochrony Powstania, dowodzonym przez por. Tadeusza Okolskiego, „Dzika”. Jako łączniczka i sanitariuszka uczestniczyła w walkach na Starym Mieście. Gdy Starówka padła, razem ze swoim oddziałem przedostała się kanałami do Śródmieścia. Po kapitulacji, idąc do niewoli, zbiegła z konwoju pod Ożarowem.

Po wojnie osiedliła się w Łodzi, podejmując pracę w tamtejszym Inspektoracie Szkolnym. Równocześnie rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1951 roku nawiązała kontakt z grupą osób działających w podziemnej organizacji Polski Front Ojczyźniany. Aresztowana w lutym 1952 r., z ośmioletnim wyrokiem trafiła do więzienia. Trzy i pół roku spędziła na Montelupich w Krakowie, w Grudziądzu i w Centralnym Więzieniu dla Kobiet w Fordonie, gdzie w pierwszych latach po zakończeniu wojny kierowano polskie patriotki po wyrokach za działalność polityczną: członkinie ZWZ, AK, WiN, NSZ, wychowane w duchu polskości studentki z Krakowa i Warszawy, przeciwstawiające się stalinowskiemu terrorowi.



Warszawa 1958 r., ostatnie chwile w Polsce. Nelli Turzańska wsiada do taksówki by udać się na lotnisko.

Zwolniona na mocy amnestii, nie potrafiąc odnaleźć się w warunkach komunistycznej Polski, podjęła decyzję o emigracji, którą umożliwiło małżeństwo (*per procura*) z obywatelem kanadyjskim, kuzynem jej zmarłego narzeczonego. W maju 1958 roku opuściła Polskę. Jej nową ojczyzną stała się Kanada, ale związki z krajem rodzinnym nie zostały zerwane. Wręcz przeciwnie – uległy pogłębieniu, stały się duchowo bardziej intensywne. Fizyczne oddalenie od Polski utwierdziło w niej przeświadczenie, że kraj to nie system polityczny, rządzący, narzucone przez nich restrykcje, lecz przede wszystkim bogata, fascynująca kultura: literatura, muzyka, malarstwo, piękno

ojczystego krajobrazu, wiara ojców, ponadtysiącletnia historia.

Poza krajem Nelli Turzańska-Szymborska spędziła 54 lata. Nigdy jednak nie był to pobyt poza polską kulturą i tradycją, poza wartościami, które decydują o naszej narodowej i historycznej tożsamości. Podczas swej emigracyjnej wędrówki, trudnej i wymagającej wielu wyrzeczeń, swoją bezinteresownością, niezwykłą empatią i życzliwością zyskała wielu oddanych przyjaciół oraz głębokie uznanie i szacunek środowiska.



Warszawa 1994 r. Nelli Turzańska-Szyborska ze Stanisławem Kopcem.

Fakt ten zasługuje na podkreślenie tym bardziej, że los stawiał przed nią heroiczne wyzwania. Trzykrotnie budowała swoje emigracyjne życie od podstaw. Najpierw, gdy w 1973 roku, po śmierci pierwszego męża Stanisława Krysiaka, została sama z trzynastoletnim Tomkiem, ukochanym synem, który urodził się z zespołem Downa. Później, gdy po kilkunastu latach harmonijnego pożycia z Władysławem Grzymałą-Turzańskim, w 1986 została ponownie wdową i wreszcie, gdy w 1994 roku wyszła po raz trzeci szczęśliwie za mąż wiążąc się ze

Zbigniewem Szymborskim, nie tylko idealnym mężem, ale także współtwórcą jej charytatywnych przedsięwzięć.

Choć oddalona w sensie fizycznym od Polski, potrafiła, realizując ideę por. Władysława Grzymały-Turzańskiego, przekazać polskiej kulturze wartość wyjątkową w postaci Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich, instytucji, która pokazuje jak wiele dobrego uczynić może szlachetność, dobra wola i wyobraźnia jednego człowieka umiejącego zjednać dla pięknych i wartościowych dla wspólnoty celów grupę ludzi szczerze tym celom oddanych.



Kilkunastu laureatów Fundacji: Od lewej: Janusz Krasiński, Andrzej Busza, Kamila i Zofia Drotlef w towarzystwie Marka Kusiby, Irena Harasimowicz, Jerzy Kołacz, Maciej Jaśkiewicz, Adam Makowicz, Marek Chodakiewicz, Krzysztof Zarzecki, Jarosław Abramow-Newerly, Ryszard Kapuściński, Berenika Zakrzewska. Ad van Rijsewijk, Michael Newnham, Norman Davies.

Powstała w 1988 roku Fundacja była rozpoznawalnym elementem kulturalnego dorobku polskiej diaspory[1]. Zrodzona przed blisko ćwierćwieczem idea wspierania wolnej, niezależnej od politycznych nacisków kultury polskiej, promowania wybitnych dzieł wzbogacających nasze narodowe dziedzictwo i utrwalających je w obszarze kultury światowej, z inspiracji Nelli Turzańskiej-Szymborskiej i przy jej ogromnym wkładzie pracy

stała się budzącym najwyższy szacunek znakiem rozpoznawczym polskiego Toronto.



Logo Fundacji

Jako „juror pierwszej godziny” i jedyny w tej chwili członek-założyciel Fundacji pamiętam dobrze dzień (20 lutego 1985), w którym pani Nelli złożyła wizytę w redakcji „Głosu Polskiego” z jej ówczesnym mężem Władysławem Grzymałą-Turzańskim, współtwórcą Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i jego pierwszym wiceprzewodniczącym. Z anonsującego spotkanie telefonu wynikało, że państwo Turzańscy pragną porozmawiać o sprawie dla nich wyjątkowo ważnej. Byłem przekonany, że chodzi o zainicjowaną przeze mnie kampanię prasową w obronie zagrożonej egzystencji wychodzącego w Londynie „Orła Białego”. Pełniąc funkcję redaktora naczelnego „Głosu” zaledwie od kilku miesięcy, byłem dumny że na mój artykuł (*Co się stało z*

Orłem Białym?, „Głos Polski” 1985 nr 6) zareagował jeden z najbardziej zasłużonych działaczy polskiej diaspory w Kanadzie. I rzeczywiście, początkowo rozmowa dotyczyła losów londyńskiego periodyku, tworzącego ważny rozdział polskiej niezależnej myśli politycznej. Por. Turzański zwrócił się za pośrednictwem prowadzonego przeze mnie tygodnika z apelem do kanadyjskiej Polonii o przyjęcie z pomocą redakcji „Orła Białego” i, by zachęcić przyszłych ofiarodawców, przekazał pierwszą dotację. Okazało się jednak, że nie był to jedyny cel tej szczególnie ważnej, co zrozumiałem niebawem, także dla mnie osobiście wizyty. W pewnym momencie pani Nelli zapytała, co sądzę o ich wspólnym projekcie powołania fundacji, której celem byłoby nagradzanie polskich twórców niezależnych. Mimo krótkiego pobytu poza krajem znałem dobrze deficyt podobnych instytucji w życiu emigracyjnym. Przedstawiony mi pomysł przyjąłem więc entuzjastycznie, zachęcając państwa Turzańskich do jak najszybszej jego realizacji, a na kolejne pytanie, czy przyjmę zaproszenie do pracy w radzie dyrektorów przyszłej fundacji, odpowiedziałem, z nieukrywaną satysfakcją, twierdząco. Prośbę pani Nelli przyjąłem jako wyjątkowe wyróżnienie i dowód uznania dla prowadzonego przeze mnie pisma, na którego łamy starałem się wprowadzić możliwie najwięcej „literatury protestu i sprzeciwu”. Czytelnicy tygodnika o profilu społeczno-politycznym, bo takim był „Głos Polski”, mogli spotkać w nim teksty m. in. Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Tomasza Jastruna, Lothara Herbsta,

Bronisława Maja, Ewy Lipskiej, Antoniego Pawlaka oraz polskich pisarzy „kanadyjskich”: Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, Adama Tomaszewskiego, Floriana Śmieji czy Wacława Iwaniuka.



Warszawa 1994 r. Spotkanie z okazji 50-lecia powstania warszawskiego. Trzy uczestniczki powstania: Nelli Turzańska-Szymborska (stoi), siostrzenica Krystyna Nizioł z domu Skwarnicka i siostra Krystyna Płatowska.

Gdy trzy lata później, po zbyt długim, niezależnym od pani Nelli,

okresie przygotowawczym Fundacja zainauguowała swoją działalność, to właśnie Wacław Iwaniuk został jej pierwszym laureatem.

Pełna lista laureatów Fundacji obejmuje osiemdziesięciu wybitnych twórców żyjących w kraju i na obczyźnie, kilkunastu przedstawicieli uzdolnionej młodzieży oraz wiele zasłużonych dla kultury polskiej instytucji i stowarzyszeń, a łączna wartość przyznanych nagród i dotacji wyniosła ponad 200 tys. dolarów.

Choć z pewnością najważniejsza, Fundacja Turzańskich nie była jedynym wyrazem obywatelskiej i patriotycznej postawy pani Nelli. Mimo, iż przystosowanie się do życia w nowym kraju wiązało się z licznymi trudnościami i wyrzeczeniami, jej emigracyjną egzystencję cechowała wielostronna działalność społeczna i charytatywna. Była aktywnym członkiem Stowarzyszenia Kombatantów Polskich Koło nr 20. i przez wiele lat kierowała pracą działającej w budynku przy 206 Beverley St. w Toronto biblioteki i czytelni. Pracowała społecznie w zarządzie Koła Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, działała w Związku Ziem Wschodnich, Towarzystwie Wspieranie Kultury Polskiej na Litwie, Towarzystwie Przyjaciół Jasnej Góry oraz Polskim Funduszu Wydawniczym w Kanadzie.

Nade wszystko jednak była wielkim przyjacielem i orędowniczką kultury polskiej na obczyźnie, jednym z jej największych i

najbardziej bezinteresownych mecenasów i ambasadorów.



Nelli Turzańska-Szymborska, 2008 r.

W dniu 24 marca 2012 roku w gronie rodziny, najbliższych przyjaciół i dyrektorów Fundacji planowaliśmy zorganizowanie kameralnego spotkania, by uczcić 95. rocznicę urodzin pani Nelli. Jakby w bezsilnym proteście przeciwko bezwzględnyemu regułom losu, przygotowaliśmy z tej okazji okolicznościowy, bibliofilski druczek, w którym wyrażaliśmy swój podziw, szacunek i miłość dla tej niezwyklej, wzbogacającej nas i polską kulturę postaci. W myśl znanej łacińskiej maksymy *Vita brevis, ars longa* żywiliśmy nadzieję, że skoro utrwalimy wspomnianą uroczystość w słowie, w wydawnictwie, które opiera się skutecznie presji czasu, umkniemy zręcznie bezlitosnej pani,

wywieziemy ją, przynajmniej na czas jakiś, w pole. Jeszcze przecież niedawno w gościnnym domu Ewy Szozdy, ostatniej prezes Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich, przy Peach Tree Path w Toronto, podejmowaliśmy panią Nellę i jej męża, ciesząc się ich inspirującą obecnością. Byliśmy, jak dawniej, znowu razem, rozmawialiśmy o literaturze i sztuce, omawialiśmy kandydatów do kolejnych nagród, snuliśmy plany na najbliższą przyszłość.

Nawet wówczas, gdy pogarszający się stan zdrowia jubilatki przesunął termin przygotowanej uroczystości, wierzyliśmy, że najgorsze wkrótce minie, bo przecież dobrzy ludzie, mimo najbardziej zaawansowanego wieku, nie odchodzą tak szybko. A jednak stało się inaczej.

Gdy dziś zastanawiam się, co było najbardziej wyróżniającą cechą jej ponadprzeciętnej osobowości – jestem w kłopotcie. Nie była to bowiem jedna dystynkcja, chociaż jest niewątpliwie słowo, które określa ją precyzyjnie: dama. Była kobietą wielkiego formatu. Mądrą, szlachetną, dystyngowaną, emanującą wrażliwością i dobrocią, głęboką patriotką, która – żyjąc na co dzień w świecie wielu kultur – z przyjazną i życzliwą uwagą potrafiła wsłuchiwać się w głosy innych. Choć w tym, co robiła nie zabiegała o uznanie, była bowiem osobą niezwykle skromną, nie można nie było jej nie podziwiać i darzyć najgłębszym szacunkiem. Po prostu: nie można było Jej nie kochać! Albo

inaczej: nie mogliśmy Jej nie kochać my, najbliżsi współpracownicy postrzegający Jej ujmującą naturalność i bezinteresowność na co dzień: w intensywnym, mądrym działaniu, w każdym słowie i geście. I chyba właśnie to: bezinteresowne wspieranie twórców, zwłaszcza żyjących poza krajem, których trudną sytuację znała wybornie, wielka pokora wobec wartości kultury, w połączeniu z wyjątkowymi cechami charakteru o jakie dziś coraz trudniej, sprawiały, że każdy z nią kontakt czynił nas duchowo bogatszymi. Sukcesy Fundacji były i pozostaną w ogromnej mierze Jej zasługą. A wysoki prestiż, jakim cieszyła się ta „prywatna czyli społeczna” instytucja w środowisku twórców związany był nierozzerwalnie z postacią jej założycielki. Wraz z jej odejściem zamknął się bezpowrotnie ważny, niepowtarzalny etap w życiu polskiej diaspory w Kanadzie.



Nelli Turzańska-Szymborska w swoim mieszkaniu, 2010 r., fot. PUNKT.CA

[1]Szerzej piszę o Fundacji w publikowanym 3 października artykule *Prywatna czyli... społeczna. O Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich*.